

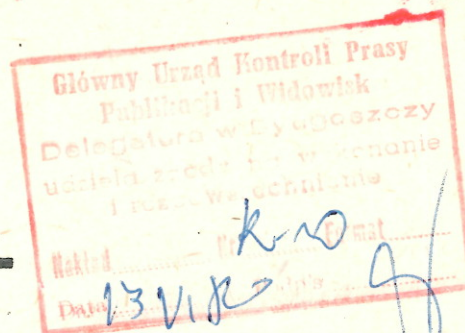
Autor: Zbigniew Głodziński

241
Dnia 15.VI.1980 r.

Redakcja Liter.i Report.

Godz. 16.05 - 17.30

J U N I O R K A



Wp
Mijało upalne, czerwcowe południe, ale kawiarnia, w której czekałem na kogoś, pełna była mroku i jako oaza prowincjonalnego światka artystycznego właśnie dopełniała się szelestem gazet i pobrzękiwaniem łyżeczek. Oaza mroku? Staralem się przecież oddalić natrętne skojarzenie; wymiary ograniczeń, w których tak swobodnie poruszali się modnie ubrani bywalcy. Kilku plastyków, zarozumiała dziennikarz, jakieś studentki, dwaj faceci pełniący obowiązki pisarzy. Gwizd ekspresu, powiew gazety, transplantacja koszmarnego snu.

Ale oto jestem ja, przede mną błysk szyby, zatrzymuję go na chwilę, jeszcze mój zmysł praktyczny usiłuje odrzucić balast niewiarygodnej historii. Ja, cząstka kawiarni, atrapa awangardy, przywołany ostrym blaskiem drzwi ulegam przemożnej chęci ucieczki z owego zadętego przybytku zaściankowych przeobrażeń kultury. Przez błysk drzwi przemknąłem się jeszcze raz w obszary jedynej, bezkompromisowej młodości, której wizją jest niezachwiana wiara w życie i własną siłę. To w tych szerokościach naszej

własnej geografii, któregoś czerwca prowadziliśmy niezupełnie określone poszukiwania w kompleksie poniemieckich bunkrów. Było nas kilku, najbardziej wytrwałych fantastów prowadzących prywatnie nie zawsze legalne wykopaliska w betonach z ostatniej wojny. Tym razem w trójkę, uzbrojeni w aparaty płetwonurków, linki taternicze, maski gazowe oraz inny sprzęt, usiłowaliśmy ucieleśnić kolejną legendę. Werner, nasz duchowy przywódca, doskonały organizator, już o świcie ograniczył teren naszych działań, a znany nam etatowy pracownik, po właściwym ukierunkowaniu rozmowy roześmiał się tylko.

- Szukajcie, aż nie znajdziecie.

- Do widzenia, do jutra - Werner odpowiedział uprzejmie, ale stanowczo.

Zostaliśmy sami przed zalanymi wodą studzienkami, przed murami niekiedy kilkumetrowej grubości. Tym razem, z uwagi na popularność miejsca, nie było mowy o użyciu środków wybuchowych, nawet zastosowanie pomp stawało się zbyt ryzykowne ^{z powodu} w przypadku ewentualnego zatrzymania ^{ycie} się na noc zwiedzających obiekt wycieczek. Teraz, o świcie, ścieżki wyglądały spokojnie. Słońce i rosa zwiastowały upalny dzień.

- Wynika z tego, że droga jest jedna - odezwał się Leszek.

- Przez otwory wentylacyjne.

Wiedzieliśmy o tym wszyscy trzej. Otwory były niewielkie, choć mógł przez nie pełznąć człowiek, gdyby nie metalowe pręty lub siatki biegnące w poprzek co dwa metry. Należało te pręty przecinać, albo przepalać. Leszek miał metr dziewięćdziesiąt, mnie też niewiele do tego brakowało, pozostał tylko ten trzeci...

- Daj linę - powiedział Werner, niepotrzebnie, bo już od kilku sekund trzymałem ją w wyciągniętej dłoni.

Po jakimś czasie, opasany liną, ciągnąc za sobą przewody palnikowe, Werner zaczął przeciskać się kanałem wentylacyjnym, nie mając pojęcia, dokąd go on zaprowadzi. Dyskusyjne stawało się użycie palnika, przy tej robocie trzeba było nakładać maskę. Leszek popuszczał linę, ja zajmowałem się butlami zamaskowanymi panterką i kocem. Patrząc z niewielkiej nawet odległości, trudno było zauważyć coś niezwykłego w naszym zachowaniu. Pracowite były tamte godziny przy bardzo znikomych efektach. Otwory urywały się nagle, czasem odnoży ich prowadziły w dół, a tam, do pewnego poziomu, wszystko zalewała woda. Poszukiwania prowadziliśmy wyłącznie nocą. Nie było dnia bez kilku wycieczek, nawet zagranicznych. Pod koniec tygodnia stanęliśmy przed

ostatnim wiazem bez wiary w jakąkolwiek szansę powodzenia.

- Twoje założenia okazały się zbyt śmiałe - zwróciłem się do Wenera, który wykonując najgorszą część roboty wciąż z taką samą energią pokonywał krecie metry, ciął płataninę metalu i wychodząc na wpeł uduszony, już myślał o następnych wejściach.

- To już ostatni - wykrzywił się złośliwie. - Potem będziemy szukać innych możliwości.

- Wody i tak nie wypompujesz z tych cholernych bagien,

- Ale gdyby nie taki układ, od dawna nie byłoby po co tu przyjeżdżać - odparł szybko, jego blade oczy zwęziły się, jakby nie wyczuł, że świadomie drażniłem go, wiedząc, jaki będzie tego efekt.

- Adolf wiedział gdzie to postawić - poparł go Leszek.

- Koniec dyskusji - uciął Werner. - Podaj palniki.

Mój zegarek wskazywał czwartą, wstawał jeszcze jeden piękny, pogodny dzień i dobrze było oddychać niebem i ciszą tego miejsca; otrząsnąć z rosy nisko zwieszające się gałęzie i słuchać łopotu skrzydeł nagle przebudzonego ptaka. Do ostatniego wiazu trzeba było przystawić drabinę i kiedy Werner stanął na pierwszym szczeblu, wydarzyło się właśnie to. Zaszleściły krzaki i spoza nich wyłoniła się postać dziewczyny w błękitnym dresie.

Potknęła się o linę i upadła tuż przed nimi. Nieoczekiwanie mały dystans kilku dzielących ^ahâs metrów sprawił, że film zatrzymał się i dopiero po sekundach, kiedy podnosiłem ją, zaczęła rozcierać kostkę. Oddychała szybko po tym biegu, wciąż wlepiając w nas jasne oczy. Tak, wyglądała niezwykle świeżo, z lekko wydętymi ustami i rzęsami wydłużonymi jeszcze przez nieufność. Jasne włosy rozsypały się, kiedy niecierpliwym gestem odepchnęła moje usłużne ramię.

- Czy fikanie kozłów to nowa konkurencja olimpijska? -
zapytał Werner, a ona odpowiedziała mu złym wejrzeniem.

Śmialiśmy się, choć nie na rękę było nam tego rodzaju spotkanie.

- Wszystko w porządku? - teraz ja, udając wyjątkowe zatroskanie usiłowałem zgarnąć w dłonie jej włosy, ale zmierzyła mnie ostro, jak przed chwilą Wenera. Musiało być nie wszystko w porządku, skoro już przy pierwszym kroku ugięła się pod nią noga.

- Usiądź, nikt nie zrobi ci krzywdy, powiedziałem to serio i dobitnie, patrząc jej prosto w oczy. Zawahała się, ale usiadła, a Leszek podał mi bandaż elastyczny.

- Muszę poruszyć twoją nogą, może zabołec.

Kiwnęła tylko głową, że rozumie i zaraz uczyniło mi się

przykro, że to właśnie ja muszę jej sprawić ból. Na szczęście nie stwierdziłem ^{nic poważnego.} ~~niczego poza skręceniem kostki~~. Obandażowałem to miejsce i później, kiedy odprowadzałem ją do ścieżki odgarniając mokre gałęzie, nie uczyniła żadnego gestu niechęci, kiedy podtrzymałem ją mocno.

- Nawet najważniejsza sarenka Diany musi trochę uważać - chciałem wywołać jej uśmiech i oto niespodziewanie dla samego siebie zobaczyłem go, usłyszałem jej głos.

- Jestem zawodniczką, miałam startować za tydzień, ostatni raz jako juniorka. Ale ktoś zastawił sidła na juniorkę...

- Rzeczywiście, głupia historia - zgodziłem się szybko.

- W tym miejscu jest dużo starych drutów i kabli. Zastanowiłem się czy mogła nas ~~zastawić~~ podejrzeć.

- Miałam wielką szansę, ale wcale nie płaczę - jakby na przekór znaczeniu słów, zadrżał jej głos.

Nie musiałem się oglądać aby wiedzieć, że jesteśmy poza zasięgiem wzroku Wenera i Leszka.

- Jak można sarenkę przywoływać?

Popatrzyła tym swoim przeciągłym spojrzeniem, ale odpowiedziała.

- Ilona.

- Czy daleko do waszego obozu?

- Pół kilometra. Ale nie bój się, mogę iść sama.

Kulejąc przebiegła parę kroków aby mi pokazać, że nie jest tak źle.

- Dziękuję - wyciągnęła rękę i dotykając jej dłoni na pożegnanie musiałem popatrzeć jeszcze raz w jej niewiarygodnie jasne, teraz znów poważne oczy, ale była to powaga przyjazna i - tak mi się przynajmniej wydawało - jakby żał, że za chwilę odwrócimy się od siebie, aby może więcej się nie spotkać.

Stanąłem znów przy ostatnim wiazie, oni czekali na mój powrót.

- No, twoje szczęście - pierwszy z wysokości drabiny dojrzał mnie Werner.

- Zauważyła coś? - zapytał prawie jednocześnie Leszek.

- To była zabiłkana sarna - odezwałem się niechętnie. Nie ma powodu do obaw. Werner przyjrzał mi się badawczo, już wówczas, podczas niewinnych, młodzieńczych wypraw bywał chłodny i bezwzględny, choć jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z rozmiaru następstw tych jego cech charakteru. Muszę przyznać, że nie doprowadziły nas one nigdy do wzajemnej wrogości, ale były przyczyną poważnych załamania przyjaźni.

Dziwki
- Tylko nie zrób z siebie idioty. Dziwki odłożymy sobie na później.

Rozzłościłem się; nie tyle słowa, ile ich ostre brzmienie spowodowało także moją gwałtowną reakcję.

- Jeżeli tym razem wyjdiesz bez niczego, tylko ty będziesz idiotą. A od moich spraw trzymaj się z daleka.

Leszek patrzył na nas, akurat otwierał termos z kawą.

- Skończcie się kłócić do cholery. Nie daj Boże, abyśmy coś jeszcze naprawdę znaleźli.

- Ostrzegam, aby się nie zaangażował - Werner nieco spuścił z tonu. - Takich jak ona łązi po kraju parę milionów i wszystkie mają to samo.

Rozbroiła mnie zwięzłość określenia.

- No dobrze, wypij kawę i wejdź - powiedziałem już bez gniewu.

Pozornie wszystko przebiegało tak samo jak przy tamtych wiazach, ale tylko przez pół godziny, po której znów ujrzeliśmy nogi Wenera. Chwytając za wystające z betonu pręty, zmienił pozycję. Wszedł nogami, odrzucając przedtem palnik i narzędzia, prócz latarki. Właściwie była to dopiero zapowiedź sukcesu. Wiedzieliśmy, że odwrotna pozycja wskazuje na możliwość zeskoku. Wszelkie pytania nie miały większego sensu, od tej chwili nasze

od dawna ustalone sygnały - ilość szarpnięć liną - musiały odmierzać dalszy bieg wydarzeń. Po wydłużającym się oczekiwaniu, kiedy kolejny raz napięliśmy linę, wiadomo było, że on wraca, że podciągamy go. Tylko z czym? Ale już wysunęła się dłoń, potem druga, w drugiej trzymał metalowe, przeżarte rdzą pudełko. Rzucił je nam pod nogi i z otwartej blaszanki wysypało się kilkanaście krzyży rycerskich. Werner nie schodził jeszcze. Wyjątkowo zmęczony, oparł głowę na rękach i przypatrywał nam się z wysokości trzech metrów. Wyglądał jak gigantyczny owad opuszczający skorupę. Oglądaliśmy czarne krzyże i nieczytelny strzęp papieru, będący zapewne wykazem odznaczonych. Tymczasem on zszedł wolno po drabinie i zaczął mówić. Niespodziewanie dostał się do położonego nad poziomem wody pomieszczenia, w którym prócz zalegających ziemię papierów znalazł coś. Co było biurkiem, obok stała otwarta żelazna szafa. W szafie nie było niczego poza ową blaszanką. Na ziemi leżały obalone podmuchem eksplozji drzwi, a wszystko za nimi zostało zasypane gruzem, spod którego wystawał na wpół przywalony szkielet żołnierza w hełmie. W biurku były trzy metalowe kubki, dwie łyżki i manierka, potłuczona butelka i kilka wieszaków do ubrań. Dochodziła szósta, a więc najwyższy czas, aby ~~odejść~~ ^{wrócić} do namiotów. Zelektryzowany znaleziskiem

zupełnie nie pamiętałem o wydarzeniu z dziewczyną sprzed dwóch godzin.

- Co dalej? - zapytał Leszek.

- Wyciągniemy szkielet - odparł Werner. - Korytarza nikt nie jest w stanie ~~teraz~~ odgruzować.

- Teraz kolej na nas - powiedziałem do Leszka.

Przez cały dzień robiliśmy zdjęcia obiektu, sporządzaliśmy szkice i pomiary. Dopiero pod wieczór jakby z bardzo daleka ¹ naszło mnie wspomnienie świeżości poranka i coraz bardziej wyraźna postać dziewczyny; ciepło jej ciała, miękkość włosów. Oczy i uśmiech. Wszystko o niej. Potem przespałem kilka godzin aby ^w o pół do czwartej znaleźć się znów przed włazem. Pierwszy wchodził Leszek, aby odgruzować szkielet. Następnie, po godzinie, ja w gumowych rękawicach. Miałem wpakować szczątki do worka foliowego i wyciągnąć je na światło dzienne. Nie sprawiło to aż tak wiele kłopotu. Zostały same kości, medalik i strzępy munduru feldgrau i kiedy wysypałem to, wszyscy trzej ułożyliśmy z tych kości anatomiczne prawdopodobieństwo. Resztki munduru zapakowałem, hełm z medalikiem położyłem obok, do zdjęć. Powodowały nami wówczas wyłącznie względy praktyczne, więc powaga śmierci, etyka ani religia nie obchodziły nas absolutnie.

Zastanawialiśmy się tylko, gdzie to zakopać.

- Nie trzeba było wyciągać - zwróciłem się do Wenera, ale nie odpowiedział, dopiero po chwili, wskazując dogodne, piaszczyste miejsce, rzucił kórko:

- Metr wystarczy.

Znów pstryknęliśmy kilka zdjęć, łopata zgrzytnęła o kość, potem przez chwilę słychać było ciężar odważanego łopatom mokrego żwiru.

Właśnie wtedy ona zaskoczyła nas po raz drugi. Była znów obok, już nie w dresie, ale w sukience z odkrytymi, opalonymi ramionami, jakby trochę zasmucona. Patrzyła tylko na mnie, można było pomyśleć, że każdy z moich przyjaciół jest dla niej gałęzią lub częścią muru w tle. Nie słyszeliśmy niezêgo, przed chwilą, łatwo nas podeszła. Pewno (im było) równie głupio jak mnie samemu.

- Proszę cię, postaw krzyż, choćby tylko z gałęzi - to był prawie szept, skierowany wyłącznie do mnie.

Wciąż zastygli w bezruchu, nie od razu pojęliśmy o co jej chodzi.

- To był Niemiec - powiedział wreszcie Leszek. - Jemu jest to równie obojętne, kim by zresztą nie był.

Ale ona patrzyła tylko na mnie. Złość mnie ogarnęła, bo już wydawało mi się, że widzę szyderczy uśmiezek Wenera.

- Słuchaj, moja słodka - wyprostowałem się - tam w środku jest jeszcze kilku takich i jeśli chcesz, wyciągnij ich sobie i spraw im pogrzeb z honorami.

- Jeżeli to zrobisz, nie minie cię nagroda - Werner podszedł do niej z ritterkreutzem, ale nawet nie drgnęła.

- On miał medalik - powiedziała. - Może miał żonę i dzieci.

- To był Niemiec, który zabijał Polaków - znów powtórzył Leszek. A w ogóle, jutro krzyż przewrócą. To nie ma sensu, nawet gdybyśmy chcieli.

Oglądała teraz własne stopy i z opuszczoną głową i rzęsami, bezradna i niezwykle piękna, sprawiała tym zakłopotanie, że coś się we mnie poruszyło. Ale po chwili znów patrzyła mi śmiało w oczy, jej oczy wbrew postawie nie uznawały sprzeciwów.

- To był człowiek - tylko poruszyła ustami, ale słowa zawirowały we mnie jakby zwielokrotnionym echem.

- Postawisz pół litra za wydobycie zwłok? - zapytałem w nadziei, że to zakończy rozmowę, ale powiedziała twardo.

- Postawię.

Nieoczekiwane zobowiązanie sprawiło, że Leszka skreślił śmiech, a Werner przyłożył lornetkę do oczu, udając że przygląda się jej, zwariowanej Ilonie, jedynej żałobniczce na pogrzebie Niemca.

- Skąd juniorka ma pieniądze? - zapytałem niedyskretnie i nie spodziewając się odpowiedzi, dodałem:

- Postawisz koniak i wypijesz z nami?

Odparła szybciej niż echo:

- Postawię i wypiję z wami.

Werner odsunął lornetkę, Leszek przestał się śmiać, otaczaliśmy ją teraz w trójkę. I nagle ona uśmiechnęła się, wszyscy zaczęliśmy mówić jednocześnie. Była przecież normalną, wesołą dziewczyną, jej opowiadanie o obozie i koleżankach przypomniało nam, że poza naszymi sprawami istnieje jeszcze coś. Kiedy wbijałem krzyż, ^{obojętność} oglądnięła go ze wszystkich stron, potem zawiesiła na jego szczycie medalik.

- O której otworzą spółdzielnię? - zapytała rzeczowo.

- O dziewiątej, mamy czas - powiedział Leszek. - Chcesz kawę? , Przyjęła bez słowa szklanekę i jeszcze w trakcie picia odwróciła się do mnie.

- Dam ci później pieniądze. Kupisz? Nie chciałabym nadweręzać nogi.

- A dlaczego nie któryś z nas? - zapytał Leszek. Podobne pytanie zadałem sam sobie, dlaczego właśnie ja. Ale zrozumiałem, że jej nagabywać o to nie wypada.

- On zadał mi pierwsze pytanie o wódkę - usłyszałem prawie natychmiast. Chciałem zaprotestować, że w ogóle z tym koniakiem to żart, ale Werner dobił mnie, po swojemu akcentując słowa.

- Grabarz też zawód płatny.

To właśnie wtedy Ilona położyła mi dłoń na ramieniu, niemal bezwiednie chcąc mnie osłonić przed kpina, choć nie uraziły mnie słowa Wenera, przecież byliśmy młodzi i silni i mówiliśmy sobie wszystko. Jednak uświadomiłem sobie niemal jednocześnie, że mógłbym ich obu obrzucić wyzwyskami, a ją wcale by to nie obeszkło. Nagle zapragnąłem odwrócić jej uwagę i bronić się przed tym, co miało stać się nieuniknione, ale zapytałem tylko.

- Czy zawsze wstajesz tak wcześnie?

Nie okazała zaskoczenia, w końcu musiała spodziewać się pytań.

- Przyszłam sprawdzić, co co się wczoraj potknęłam.

- I nie bałaś się o drugą złotą nóżkę? - nie wytrzymał Werner.

- Tym razem byłam ostrożna...

Rzeczywiście, przyłapała nas. Wiedziałem, że Werner winą za to obciąży wyłącznie mnie.

- A nie każesz nam oddać honorów wojskowych? To przecież był wielki żołnierz.

- Nie wygłupiaj się, moi rodzice zginęli w powstaniu -
21 stanęła nagle, a mnie ucieszyło rzadko oglądane pomieszczenie
Wenera.

Wracaliśmy wolno przez słońce, zielen i rosę, zatrzymując się
na chwilę przed naszymi namiotami. Ilona obejrzała je dokładnie
i jak przystało na prawdziwą kobietę powiedziała coś o porządku.
Między drzewami mignął pierwszy autokar, na podjeździe stały już
dwa furgony, głosy ptaków mieszały się z ludzkimi. Gdy przy
podejściu na skarpę otoczył mnie zapach jej włosów i ciała,
przyjąłem jak rzecz normalną, że szukała u mnie pomocy. Nie
staraliśmy się go dogonić Leszka i Wenera. Patrzyła mi w twarz
z uśmiechem i wiedziałem, że to jest uśmiech mojego prawdziwego,
prawie uchwytnego, czerwcowego dnia.

- - - - -